

SPRAWCA

Copyright by Maciej Rogoziński

Niniejszym Autor zezwala na powielanie i udostępnianie utworu. Zastrzega się odsprzedaży.

projekt okładki: Zuzanna Kmicik

korekta: Agnieszka Rogozińska

Wydanie II

ISBN 978-83-943592-6-3

MR

Oława 2021

Porwany naukowiec nadal niezaleziony.

Rząd: włamanie do wojskowego magazynu to jakaś kpina.

Ceny papierosów nadal rosną. Co z alkoholem?

Nagłówki gazet przyciągały wzrok detektywa Massa niczym chleb wygłodniałego nieszczęśnika. Wyobrażał on sobie, że jest na tropie jakiejś wielkiej afery, jakiegoś skandalu, o którym mówić się będzie przez następnych kilkanaście lat. Pragnął on zlecenia wymagającego od niego czegoś więcej niż wysłuchania zeznań. Pragnął myśleć, pragnął zaangażować się całym sobą w rozwiązanie nierozwiązywalnej sprawy. Gdy tymczasem było zgoła odwrotnie.

Pukanie do drzwi rozproszyło depresyjne myśli Sigismunda. Powrócił do rzeczywistości, czyli do swojego niewielkiego mieszkanka, po którym walały się na siłę zapisane notatki jego najnudniejszej sprawy od lat. Notatek było co prawda trzy, jednak ze względu na to, iż ich obecność nie stanowiła konieczności, sprawiały wrażenie bałaganu.

Ociężale podniósł się zza biurka i pomaszerował, aby otworzyć.

– Witaj! – radośnie krzyknął inicjator pukania, gdy ujrzał twarz swego wąsatego przyjaciela. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Dużo pracy? Mogę wejść?

Sigismund Mass nieznacznie się uśmiechnął, po czym poprawił ogromne, druciane okulary.

– Jak zwykle czuję się bezradny w obliczu zbombardowania pytaniami. Śmiało.

Szczerzący się mężczyzna posiadający perłście białe uśmiech i nowiutki, dobrze wyglądający garnitur przekroczył próg kawalerki. Wiedział gdzie się kierować, bowiem był tutaj już nie raz.

– Widzę, że coś prowadzisz – odparł, spostrzegłszy kartkę z jakimś adresem. – Coś poważnego? Albo chociaż interesującego?

Sprawie tej, myślał Mass, bliżej jest to kałuży wymiocin, niż do czegoś interesującego.

– Nie – rzekł, nie wdając się w tłumaczenie swej odpowiedzi. – Nie po dwakroć.

– Rozumiem. Taka praca, nie? Raz jesteś na tropie międzynarodowego spisku, a raz robisz to. Och, mam nadzieję, że cię nie uraziłem!

– Daj spokój, Aren, bardziej nie da się mnie urazić. Napijesz się czegoś?

– Nie – przyjaciel Massa spoważniał. – Jeśli już rozpoczynamy właściwą rozmowę, muszę wyznać, że przyszedłem tu w bardzo konkretnym celu. Pogawędkę, wiesz, podtrzymującą kontakt, utniemy sobie innym razem.

Retoryka Arena od zawsze dziwiła detektywa.

– Dobrze, zatem co cię do mnie sprowadza?

– Oczywiście obowiązki. No i to, że jesteś znakomitym fachowcem. Widzisz, potrzebuję pomocy. Pamiętasz może Dereka Edgewooda?

– Tak – odparł bez namysłu detektyw. – Pamiętam, prawdopodobnie aż nazbyt dobrze.

Pamiętam, że próbował zamordować swoje dzieci w najbardziej odrażający sposób, o jakim dane mi było słyszeć, pomyślał.

– No właśnie. Rzecz w tym, że znowu coś na niego mamy. I, cholera, naprawdę chciałbym ci wszystko wyjaśnić, ale...

– Rozumiem. To *ale* jest jednym z powodów, dla których zrezygnowałem z pracy w policji.

Aren nieznacznie się uśmiechnął. Z pewną iskrą podziwu spojrział na niepozorną sylwetkę wąsatego przyjaciela. Po kilku sekundach ciszy mówił dalej:

– A zatem, mamy na gościa coś naprawdę poważnego. Tym razem zamknijmy go na amen. Znaczący, zamknęlibyśmy.

– Słucham?

– Facet zniknął, i mam tu na myśli dosłowność. Nie figuruje w jakimkolwiek urzędzie, na żadnej liście płac, ani na niczym podobnym. Rozpłynął się.

Mass podrapał się po brodzie.

– Będąc zupełnie szczerym muszę wyznać, że nie mam z tym nic wspólnego.

Aren żartu nie zrozumiał. W zasadzie, z wyraźnym wysiłkiem opanował nagły wybuch złości.

– To nie jest śmieszne, Sig. Czubek słyszący głosy namawiające do patroszenia własnego potomstwa chodzi sobie, gdzieś tam, a policja nie ma pojęcia gdzie. W dodatku postarał się, aby szukający go niczego nie znaleźli, bowiem wymazywanie nazwisk z urzędowych rejestrów nie następuje, ot tak.

– A wy, jako instytucja państwowa, nie macie wglądu do jakichś mniej oficjalnym kartotek?

Aren teatralnie rozsiadł się na lichym krzeselku i tak samo rozłożył ręce.

– Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał. Nawet nagrania z miejskiego monitoringu go nie wychwyciły, przy czym zarządzający nim dostali wyraźne instrukcje, ażeby go śledzić. Po prostu od jakiegoś czasu nie sposób go znaleźć. I tyle.

– Więc gdzie miejsce na moją pomoc? Bo wiesz, ja go też nie widziałem.

Mass zobaczywszy reakcje przyjaciela stwierdził, że albo utracił on poczucie humoru, którym jeszcze przed kilkoma minutami tryskał, albo z jakiegoś powodu bardzo się z tą sprawą związał. Aren bowiem zacisnął zęby i zmrużył oczy. Gdyby otworzył usta z pewnością plułby jadem.

– Starałeś się wyjaśnić jego motyw – podjął po chwili, gdy w duchu stoczył nierówną walkę o uspokojenie się – i dzięki dogłębnej rozmowie dowiedziałeś się o jego przypadłości. Rozmawialiście bardzo długo, więc pomyślałem... że... że może wyjawiał ci jakiś sekret, coś o jakimś tajnym miejscu? Wiesz, ażył z dala od zgiełku świata, przystań bezpieczeństwa. Mówił coś takiego?

Sigismund Mass westchnął. Z uwagą wbił wzrok w oczy przyjaciela, które nigdy nie były tak podkrążone jak teraz. Zastanawiały go również iskierki szaleństwa kotłujące się tam niczym okruchy rozbitych emocji, stanowiących niegdyś stabilną wagę uczuć.

– Nie chcę cię rozczarować – odparł spokojnie – ale chyba jednak to zrobię. Derek Edgewood nie mówił nic, poza opisami swych paranoicznych wizji i takowych wrażeń słuchowych niewiadomego pochodzenia. Największy dureń domyśliłby się, że facet ma coś z głową, więc nie dokonałem niczego niesamowitego stwierdzając oczywistość. Przykro mi, Aren, ale nie mogę ci pomóc.

Przyjaciel detektywa nie wyglądał na zawiedzionego ani na smutnego. Przypominał bardziej kogoś, kogo trawi od środka złość.

– Mogę jedynie dodać... Chociaż... Hm, jak mówiłem, psychika Edgewooda nie stanowiła stabilnej konstrukcji.

– Och, być może przeceniasz nieco swój dar niezauważania istotnych szczegółów. Zważywszy na to, że jesteś detektywem, cecha ta od zawsze mnie u ciebie zastanawiała.

Niewinny żarcik rozluźnił atmosferę. Aren w dalszym jednak ciągu wydawał się być wyraźnie zdenerwowany. Najpewniej sądził, iż zabawne według niego wtrącenie rozwieje podejrzenia Massa, że sprawa Dereka Edgewooda to coś więcej niż kolejne zadanie do wykonania podyktowane jedynie zdrowym poczuciem moralności. A podejrzenie owo w powietrzu wyraźnie krążyło.

– Cóż – odparł detektyw, również chcąc zachować pozory. – Faktycznie nie uznałem powtarzającej się gestykulacji za coś istotnego. I faktycznie, nie spędziłem wielu godzin na

dokładnej jej analizie. Dodatkowo, nie udało mi się ustalić, że Derek bez przerwy kreślił palcem na blacie stołu liczby jeden, osiem, jeden, pięć. Jak się zapewne domyślasz, nie ustaliłem również, iż z pewnością chodziło o taki właśnie ciąg.

Aren przypominał robota kompletnie pozbawionego uczuć. Jedyną aktywnością z jego strony był mikry ruch warg podczas wypowiedzianego przez Massa czterocyfrowego kodu oraz sztuczny, wymuszony uśmiech.

– Szukałem wszędzie – podjął detektyw, nie doczekawszy się reakcji werbalnej. – Jednak do niczego nie dotarłem. Myślałem, że to jakiś szyfr albo klucz, lecz Derek nie wydawał się skrywać jakiegś szczególnej tajemnicy. No, poza mocno skrzywioną psychiką, oczywiście. Może i coś bym odkrył, jednak zaniechałem poszukiwań po usłyszeniu wyroku. Zresztą i tak zajmowałem się wtedy czymś innym.

Zaległa krępująca cisza. Co dziwniejsze, nigdy się to mężczyznom nie zdarzało.

– W takim razie – odparł Aren, którego twarz przypominała zdarte, a potem powtórnie przyklejone płótno z głowy manekina – trudno. Warto było spróbować, nie? Mam nadzieję, że go znajdziemy. Wiesz, czubek słyszący głosy namawiające do patroszenia własnego potomstwa chodzi sobie, gdzieś tam, a policja nie ma pojęcia gdzie.

Mass na te słowa zmrużył oczy.

– Sądzę jednak, że się nam uda. Nie raz rozwiązywaliśmy gorsze sprawy, a sprawcy też znikali jakimiś tajemnymi sposobami. No nic, nie będę zajmował ci więcej czasu. Dzięki za chęci, gdybyś sobie o czymś przypomniał, wiesz, gdzie mnie szukać. Bywaj!

Aren podniósł się i skierował do wyjścia. Machnął jeszcze niedbale ręką, po czym opuścił niewielką kawalerkę.

Sigismund Mass rozsiadł się w fotelu i wziął do ręki kubek kawy. Myślał. Coś sobie układał. Łączył jedno z drugim.

–Jeden, osiem, jeden, pięć – mruknął sam do siebie. – Już się z tym spotkałeś, prawda?

Choć wnętrze antykwariatu było schludne i zadbane, a w zasadzie stanowiło jedną z najczystszych przestrzeni całego miasta, nikt nie ośmieliłby się orzec, iż nie odczuwało się tam ciężkiej atmosfery kurzu. Za taki stan rzeczy odpowiadały oczywiście przechowywane tam książki – stare, często zniszczone, zapomniane tomiścza, stanowiące źródła najcenniejszej wiedzy i największych przekleństw. Książki te wypełniały każdą półkę, każdy najmniejszy fragment wolnego miejsca, a było ich tak dużo, iż znalezienie jakiegś jednej

konkretnej wymagało naprawdę sporego wysiłku, nawet pomimo całkiem zmyślnego systemu próbującego to wszystko ogarnąć.

A właśnie jedna konkretna książka ostatnimi czasy zaginęła. Z tym, że niewiadomo jeszcze która.

Detektyw Mass zrezygnowanym wzrokiem wędrował po pokaźnej kolekcji. Nie miał po prostu nic lepszego do roboty, bowiem pomimo, że wynajęty został przez właściciela do znalezienia zguby, musiał poczekać, aż ten dowie się czego właściwie ma szukać. Właściciel antykwariatu – starszy jegomość z dostojną siwizną i takąż brodą – przechadzał się po sklepie z ogromną listą, po kolei sprawdzając, czy wszystko jest na swoim miejscu. Zarzekał się, że ustalenie nazwy zaginionej książki potrwa chwilkę, bowiem doskonale orientował się w położeniu poszczególnych tomów.

Robił to już trzeci dzień.

Massowi w tym czasie udało się stwierdzić, że złodziej użył do włamania całkiem profesjonalnych narzędzi w sposób kompletnie amatorski. Zostawił on bowiem rozgardiasz i nieporządek. Sugerowało to zatem, iż nie jest on fachowcem lubującym się w dziełach sztuki, acz kimś, kto wynajęty został do zrobienia tej jednej rzeczy. Czyli skradzenia pewnej konkretnej książki. Ponadto, musiał wiedzieć gdzie takowa się znajduje, gdyż poza wyważonym zamkiem i okropnymi rysami na drzwiach, półki pozostały we względnym porządku. Niektóre pozycje zostały poruszone najpewniej ze względu na złe oświetlenie albo dla zmylenia i wprowadzenia czynnika chaosu – w to jednak detektyw powątpiewał. Faktem jednak pozostało zamaskowanie skradzionej pozycji, gdyż puste miejsce zostało wypełnione innym tomem; w zasadzie ani właściciel antykwariatu ani Mass nie byli pewni, czy w ogóle doszło do kradzieży. Jediną sugestią, że owszem, były wyraźne ślady włamania i oznaki myszkowania po półkach. Stąd też proces weryfikacji trwał tak długo – trzeba było sprawdzić każdą pozycję i upewnić się co do postawionej tezy. Względem której właściciel odczuwał absolutną pewność.

– Więc jak, drogi panie? – zagadał detektyw, gdy kolejny dzień stał beczynnie i szykował się do wyjścia. – Jakiś postęp?

Staruszek westchnął.

– Dzisiaj nie, znowu. Ale zostało jeszcze sześćset pięć pozycji, więc jesteśmy bliżej niż dalej.

– Rozumiem. Proszę jutro zacząć od końca. Być może to ostatnia książka z listy jest tą zaginioną?

Właściciel zmarszczył krzaczaste brwi.

– Do zobaczenia. Godzina spotkania jest ta sama.

Grupa Świętej Wierności Samuela Vanna: my z porwaniem nie mamy nic wspólnego. My organizujemy tylko zamachy bombowe.

Rząd: to kpina, śmieszność, żalność i bezczelność. Prokuratura wszczęła już śledztwo.

No i stało się – papierosy w cenie dobrej czekolady.

Poranne gazety jak zwykle dostarczały Massowi mnóstwa powodów do chęci zmiany pracy. Znaczący pracy aktualnej, ponieważ bycie prywatnym detektywem bardzo sobie cenił. Zazwyczaj jednak wynajmowano go do rzeczy poważniejszych, które poziomem intrygi znacząco przewyższały fakt skradzenia jakiejś starej książki.

W tym dniu właściciel antykwariatu niespodziewanie do niego zadzwonił orzekając, że ma on coś bardzo ważnego do zrobienia, i z przykrością stwierdza brak możliwości dalszego szukania skradzionego woluminu. Poleciał za to detektywowi uważną weryfikację listy podejrzanych (gdyż lista takowa została poczyniona) i powęszczenie nieopodał miejskiego monitoringu. Konkretniej zalecił mu pozyskanie nagrań. Mass wiedział, że jest małe prawdopodobieństwo na sukces, gdyż miasto zazdrośnie strzegło efektów swego podglądania, a argument *bo może widać będzie, jak ktoś kradnie jakąś książkę* w mniemaniu detektywa był tak słaby, że lepiej w ogóle go nie używać. Jednak właściciel płacił. I to jego pieniądze dyktowały warunki.

Śledczy szykował się do wyjścia. Ubrał już płaszcz, schował doń notes i sięgnął po klucze od mieszkania.

Gdy nagle zadzwonił telefon.

Hm, pomyślał, jak zawsze rychło w czas.

Gdy irytujący dźwięk rozległ się raz jeszcze, a potem jeszcze i jeszcze, detektyw postanowił odebrać. Wszak ktokolwiek dzwonił, nie mógł sprawić, aby nie opuścił kawalerki.

– Cześć, tu Aren. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Przeszkadzam?

Mass uśmiechnął się pod nosem.

– Skądże, cześć. Coś się stało?

– Nie... Słuchaj, trochę mi głupio. Wiesz, jak cię odwiedziłem gadałem o pracy, jakby była ona najważniejsza na świecie, a przecież byłem u przyjaciela, prawda? Nie zdziwiłbym się, gdybyś był urażony, czy coś.

– Daj spokój. Doskonale rozumiem twoje zaangażowanie, sam kiedyś oceniałem ludzi jako przydatnych dla sprawy i nie mających o niej pojęcia.

Detektyw usłyszał charkot, który bez zapośredniczenia technologicznego uchodziłby za śmiech.

– Ten... W takim razie nie miałbyś chęci na spotkanie? Dziś, na przykład, bo potem zajęty jestem jak cholera i nie znajdę nawet chwili na podtarcie tyłka.

– Czyli chcesz uciąć pogawędkę podtrzymującą kontakt?

– Tak, dokładnie. Dokładnie to.

Nastała dziwna cisza. Przerwał ją Sigismund:

– Co prawda mam coś do zrobienia, ale godzina nie robi mi różnicy.

– Świetnie! Zatem co, za dwadzieścia minut w kafejce koło mostu? Wiesz, z tą durną fontanną w ogródku?

– Pewnie. Do zobaczenia.

Gdy detektyw odłożył słuchawkę, w jego umyśle powstała myśl nie dająca mu spokoju:

Czy koło Arena ktoś się znajdował, i czy tylko wydawało mi się, że ten ktoś mówi mu co ma powiedzieć?